

głosy literatury

№ 7 (31)

WARSZAWA, 1 — 15 kwietnia 1929 r.

Rok II

PLAGIATOMANIA W DOBIE WSPÓŁCZESNEJ

Z pośród powodów deprawujących objawów w dziedzinie piękna, należy „kradzież literacka” do jednej z najbardziej piekących bolączek dzisiejszego czasokresu. Stąd wylania się samorzutnie pytanie, czy istnieje jakas wiwisekcja, zaradzić mogąca złu, rozpanoszącemu się wszechwładnie tam, gdzie lotna myśl człowieka sięga poza nieboskłon tytanicznych wzmagów. Istnieje wprawdzie po dziś dzień jeszcze, tradycja stuleci uswiecony przywilej, że technik mocą zgłoszonego patentu wynalazek ochrania przed ślepem naśladownictwem niedozwolonym. Że chemik dokonujący nowego odkrycia, dostawał od rządu t. zw. „markę ochronną”. Że nawet poeta, prozator czy teatralog uciekał się do... praw autorskich! Że wreszcie badacz czy uczyony, zażywał łaski... „priorytetu”, czyli t. zw. „pierwszeństwa”. Tem samem stanął pod opieką miłosiernego prawa, przysługującego pokrzywdzonemu ścigać sądowo każdego, któryby właściwego twórcę nie zacytował w pracach dalszej rozbudowy idei czy myśli przezeń zapoczątkowanej. Lecz niestety epokowych, przelomowych czy wywrotowych pomysłów opatentować nie można. Żadna ustawa autorska, żadna nowela o ochronie twórczości intelektualnej, przed nieproszonym wyzyskaniem, nie powstrzyma również niewidocznej falangi owych rycerzy „obcego ducha”. Bo np., co wypowiedzieli tacy giganci, jak Nietzsche, Marx, Hoene-Wroński, lub Einstein, każdy ładaczo kontynuować mógłby dalej myślowo czy praktycznie teorie tych herosów mózgu, bez narazenia się na szwank przed odpowiedzialnością publiczną. Prócz zazwyczaj, wobec ogromu pracy, niedocenionej wartościowania idei w formie śmiesznych czasami honorarium, pozostaje w końcu rzeczywistemu twórcy migotliwy jego odbłyśk jutrzejszej sławy, który to mir w wypadku najlepszym, zakłety bywa w granit czy bronz przyszłego pomnika! A przytem ideowa taka zapłata, która tylko w gronie równorzędnych myślicieli posiada walor swój i znaczenie, nie wyklucza jeszcze zbyszczeszczczenia ze strony bezsumiennych plagiatorów...

Jest zatem zupełnie neutralną rzeczą, że twórcy i heroldowie nowych hasel, teoretycznie bronią się zawzięcie przed sforą zgłodniałych samozwańców, polujących na padliny obcego ducha. Tytani właściwi czuwają więc troskliwie nad wawrzynem przysięgą na zasłużonej sławy. Swary i waśnie, dyskusje i „otwarte listy”, wykłute na podłożu trudno uchwytnego „priorytetu” były i są zawsze jeszcze tłem dla rozpraw sądowych. Klasycznym przykładem sporu o „pierwszeństwo” była niedawno temu zakwestionowana „teoria względności” prof. Einsteina, którą zwalczała była nie tylko przez malkotentów i antagonistów wszelakich, ale też wybitnego tego meza nauki posądzono publicznie o zbrodnię zwykłego... plagiatu!

W naturze i wszechświecie istnieje bezwiednia, podświadoma wydarzeń periodyczność, t. zw. „prawo serji” pewnych faktów. Polega ono na tem, że niezależnie od wszystkich, w dwóch czy trzech mózgach różnych badaczy rodzą się równocześnie prawie zupełnie nowe w zasadzie do siebie podobne pomysły. Nie brak zatem śmiałych hipotez, wykazujących „duchowe powinowactwo” kilku odrębnych całkiem głów, wygłaszających tę samą myśl czy teorię. Historia wylicza cały szereg niezachwianych, lecz w zasadzie ciekawych przykładów takiej „bezwiednej serji” ewenementów ducha. Przy narodzinach epokowych idei, wykluczyć nie sposób nagłego zaistnienia t. zw. „kryptomneji”, t. j. „tajemnej pamięci”. Prof. Jung wykazał naukowo niedwuznacznie fakt owej kryptomneji u intelektualnej wielkości tej miary, jak u autora „Tak o rzekł Zaratustra”. Miał on bowiem (Nietzsche) popełnić dosłowny omal plagiat z dzieł mędrca Wschodu... Lao-tse!... Niesłusznie zresztą. Ideowe oparcie się na wzorach klasycznych, bezwiednie podświadome raczej oddziaływanie wzajemne w formie nieuchwytnego czasami fluidum myślowego, nie identyfikuje się jeszcze z karygodnym występkiem zwykłej... kradzieży literackiej! Wszak mimowolnie suggestywny wpływ Byrona na Słowackiego, Goethego na wieszczkę naszego, Adama, Moliere na cały szereg komedjopisarzy późniejszych i t. d., nie dopuszcza wcale analogom w pojęciu zasadniczego przywłaszczenia pomysłów obcych, czy idei cudzych.

Wielką wrzawę w światku literacko-naukowym wywołała onego czasu głośna afera „plagiatu” oryginalnej czwórki: Fliessa - Freuda - Weinera - Swobody. Otto Weininger dopuścić się miał „świadomego plagiatu” na dziełach psychoanalitka Freuda o „biseksualności”. Swoboda zaś przywłażczył sobie teorię „periodyczności”, Weininger. Tenże natomiast oparł się w zupełności na doktrynach Fliessa. Że profesor Fliess był

duchowym ojcem „periodyczności” w kosmosie i „biseksualności” w naturze — nie ulega najmniejszej wątpliwości. Lecz poeta — myśliciel Weininger doktrynę biseksualności rozwinął w tak mistrzowski sposób, iż tworząc temsamem dla nowszej psychologii niesamowity światopogląd, nie zasłużył sobie na zarzut podobnej insynuacji. Z drugiej też strony, nader ceniony filozof Swoboda, któremu niesłusznie może przypięto etykietę „periodyczności” pod mianem jego, nie popełnił również żadnego świadomego plagiatu. W dziełach swych bowiem niejednokrotnie cytował Fliessa, jako twórcę „teorii o serjach”. W tym szczególnym wypadku zaszedł rzeczywiście ów rzadki fakt kryptomneji. W zasadzie zaś chodziło im o specyfikację praw „pierwszeństwa, o podkreślenie „priorytetu” samej idei, co niemało przyczyniło się do wzajemnych ataków osobistych, niesmacznych kalamij, aż wreszcie sądy rozstrzygnąć musiały.

Jakkolwiek przy bliższej obserwacji, zarzuty „pozornych plagiatów”, czy „myślnego ignorowania” właściwego autora, rozplywały się często w nic, to mimo wszystko nie brak autochtonnych pogwałceń praw autorskich. Zwłaszcza w dobie współczesnej, w świecie operetek, mówi się często o... „kradzieżach literackich”. W teatrze jednak muzy w Berlinie, we Wiedniu, i w Paryżu, nie ma żadnej prawie premijery, która by nie obfitowała w tego rodzaju sensacje rewelacyjne. Sztukom tym zarzucają otwarcie, że niektóre sceny, t. zw. „tryki”, ba pomysły librettowe czy kompozycyjne, skradzione są prosto z dzieł innych, zapomnianych lub częstokroć niewystawianych autorów jeszcze. Takie nawet autorytety, jak Ryszard Strauss („Egipska Helena”), Franciszek Lehár (Czar walc), lub Leo Fall („Księżniczka Czardasza”) — królów operetek — nie byli wolni od potwarzy nieuzasadnionego niczem plagiatu! Podczas festiwalów Szubertowskich we Wiedniu, zdarzył się nader ciekawy wypadek, że na konkursie muzyków świata zaszczytnie wyróżniona i pierwszą nagrodą w kwocie 70.000 dolarów odznaczona symfonia jakiegoś Szweda, była... kradzieżą! Prostu zlekpił różnych motywów, jednakże tak misternie je sobą związanych, iż jury konkursu nie rozpoznało się w tej arcyzręcznej machinacji „nowego” kompozytora. Tu zaszedł świadomy już akt zbiorowego plagiatu, bo nie z żadnego opisu muzycznego, ale z poszczególnych kompozycji Schuberta, Mozarta, Haydna i Beethovena!...

Jest rzeczą charakterystyczną, że stosunkowo najwięcej „świadomych”, lub „bezwiednych” plagiatów popełnia się w lotnej krainie tonów. Iż to motywów, zapożyczonych jest od muzyków innych, pomijając całych czasami fraz tonalnych czy szematów orkiestrowych. Wiadomem jest np., że zachwycająca i porwijająca za serce opera Bizeta „Carmen” zbudowana była — zda się — na momentach czysto iberyjsko-maurytańskich, de facto ale zręcznem naśladownictwem synagogalnych chórow żydowskich! Najmłodniejsza i obecnie cały świat obiegająca opera Kronecka „Jonny spielt aut” (Jonny zagrywa) jest zwyczajnym amalgamatem wszelakich (przez kompozytora skądinąd wziętych) jazzbandowych kapirolów, jest rzecz można „sublimatem” znanych „onsteppów” i tanów, akrobatycznie przerobionych na śpiewne recytale!... W przedudniej operze narodowej Smetany „Sprzedana naręczona” roi się od domorodnego folkloru śpiewanych melodji z nad brzegów Wietawy, lub chmurowych gór Ruebezhahla!... Nie dość na tem. Wogóle dobrze znanej operze „Cavalleria Rusticana” („Rycerskość wieśniacza”) znajdujemy motywy ludowych z piosenek sycylijskich lazaronów, a błyskotliwej operze „Królowa Sabas” Goldmarka żywcem omal wzięte bizantyjskie melodie, jednakże ze specyficznem zacięciem typicznych parafraz z nad brzegów... Jordanu!...

W migotliwym świecie ekranu, plagiatomania świeci również tryumfy. Psychoza przywłaszczania plodów obcej twórczości rozwinęła się na dobre we wszystkich niemal wytwórniach całego świata. Rękopisy filmowe, przesłane do rąk dala-lamów, reżydujących w niedostępnych dla zwykłych śmiertelników warowniach... Los Angeles, czy Hollywood, — przepadają zazwyczaj bez wieści. W tekach niewidzialnych reżyserów spoczywają one długo snem niezmaconego spoczynku. Aż oto przypadkiem, obudzą się gdzieś na biurkach wszechwładnych Lubitschów, Millów, Goldwynów, gdzie w najlepszym razie zostają skastrowane na sposób, daleko odbiegający od otrzymanych oryginałów. Wreszcie po latach wielu pod zgola innym tytułem, w przeróbce wyheblowanej czasami do niepoznania wchodzi nagle na afisz, ku urągowskiemu rzeczywistego, a cierpliwie dotąd wyczekującego autora!... Słynne dziś na cały świat filmowe dzieło „Metropolis”, wyświetlane na ekranach

firmy berlińskiej „Ufa” jest majstersztykiem... plagiatu, dokonanym na przesłanym ongi dyrekcji tejsze rękopisie, mało dotychczas znanej literatki polskiej, zamieszkałej w stolicy Rzeszy niemieckiej!... Afera ta stała się teraz przed aeropagiem sądu berlińskiego, którego werdykt pozostanie zapewne w przyszłości groźnem „memento” dla nieuleczalnych kleptomaniaków!...

W epoce powojennej zaznacza się w symptomatach paljatywnych niepokojąca bezsprzecznie dekadencja na polu oryginalnej twórczości. Niepomaga tu jerychońskie trąby, nawołujące do re-nacji ducha do wtórnego Renesansu, zachwaszczono obecnie bakcyłem rozkładu intelektu ożywczego. Czyżby naprawdę nastąpił już zmierzch talentów? Czyż za mało tworzyw rodzi się w mózgach pisarzy teraźniejszych, by nie mógł zaspokoić tantalogowego głodu filmowego czy literackiego, bez popełnienia hańbiących plagiatów? Gdzież — pytam się — zapodziały się znielak tytany nowych idei, zwiastuny pokrzepiających hasel? Czyżby już same pigmeje wylegały się z pod pieleszy domorodnych talencików, z augiaszowych rupieci wygrzsbując tematy na ogół już znane lub zaczerpnięte ze źródła obcych twórczości? Wolno wprawdzie motywy przerabiać dowolnie, jak to czynili wielcy herosy ducha: Schiller, Szekspir lub Moreau, obdarzywszy świat klejnotami genialnych opracowań Johanna d'Arc. Lecz każdy z nich owionął Dziewicę Orleańską świetlaną postacią, coraz to innym nimbem klasycznego piękna, dramatycznego napięcia, czy tematyczności majestatycznej. Wolno też może całe zdania, czy stronice nawet przepisać z dzieł Montaigne'a, Voltaire'a i w z., jak to czynił mistrz pióra, nieśmiertelny „akademik” Anatole France, nie popełniając przytem... „pozornego” plagiatu! Lecz to co uczynił Tolstoj — uchylać godności człowieka... rzetelnego!

W czasopiśmie berlińskim „Die literarische Welt” zwróciłem uwagę na fakt bezwstydnego wprost kradzieży literackiej, dokonanej przez głośnego filozofa z Jasnej Polany. On to bowiem, w r. 1882, czytając w dawno już zapomnianym tygodniku francuskim „La feuille populaire de Marseille” nowelę jakiegoś nieznanego autora Saillenta, p. t. „Le pere Martin” (Ojciec Marcin) przełożył ją na język rosyjski. Tło zaś akcji czysto francuskie przeniósł samorzutnie do... Uralu! Nazwiska bohaterów zrusyfikował także, o pozwolenie nie pytając nikogo. Po pewnym czasie pojawiła się ta nowela z pełnem nazwiskiem Francuza w jakimś czasopiśmie rosyjskiem, którego redakcja w sposób lojalny Lwa Tolstoją ujawniła jako... „upoważnionego tłumacza”! Kiedy jednakowoż rzecz tę przedrukowano po raz drugi i trzeci, zabrakło już rzeczywistego nazwiska Saillenta, a widniała jedynie skromna uwaga „podług francuskiego przez Leo Tolstoją”.

Po latach dopiero wielu ukazała się owa nowela w książkowej oprawie na półkach księgarskich pod innym zgola napisem „Iwan Guptaś” i żeglowała odtąd nakopanej pod moskiewską banderą wielkiego Lwa!...

W późniejszych edycjach wspominał wprawdzie poeta „Kreutzerowskiej Sonaty”, że nowelę wyż wspomnianą przyswoił sobie z jakiegoś... „obcego języka”, co nie przeszkodziło mu wszelako, po pod swoje jako autora nazwisko, przyczepić lakoniczną etykietę: „z angielskiego”!...

W roku 1888, a więc po 6 latach, zaszła w osobach autorów zasadnicza a humorystyczna zarazem zmiana. Pseudo-Tolstojowski szkic „Iwan Guptaś” został (co za pech) z powrotem na język francuski przełożony i nosił dziwny a niesamowity tytuł: „La ou est X l'amour, la est Dieu” („Miłość X jest tam gdzie mieszka Bóg”!)

O tej mistyfikacji nieomieszkał zakomunikować rzeczywistemu autor, nazwijmy go Nr. 1. Mr. Saillant, reklamując praw autorskich dla swej własności, literackiej. Niemity ten incydent dostał się do uszu sławnego już naówczas pustelnika z Jasnej Polany. Tenże z emfazą odparł był Saillantowi temi słowy... Nie rozumiem pańskiego oburzenia. Prawdą jest, że przełożyłem nowelę Pańską. Lecz dawno już zapominałem o niej, jako o rzeczy zbyt małej dla mnie wagi, albowiem w r. 1881 (sic) zrzekłem się wszelakich praw autorskich. Żałuję zatem, że skutkiem tego zaszło nieporozumienie (!) niniejsze...

Ze autor Nr. 1, Mr. Saillant, zbyt nie dał się owemi lapidarnymi zdaniem, było do przewidzenia. Bo w dziesięć lat później, w uwagach do swych dzieł oznajmił Leo hr. Tolstoj (autor Nr. 2), że „...w dalszych edycjach wymienię Francuza” jako noweli rzeczywistego autora!

Lecz, niestety, nie dotrzymał danego słowa... Dr. Eugenjusz Möller.
Paryż, w marcu 1929.

LUCYNA KRZEMIENIECKA BEZROBOTNI

Ciężkie nogi wpięraj w szary, bezlitosny chodnik,
z łepotą upośledzonych liczą ostatnie grosze.
Majaczy im skąpa strawa wszystkich, ubiegłych
[tygodni,
plączą się czarne czcionki wydartych z gazet
[ogłoszeń.

Przyszłość przywiera do mózgu rozpacz i zb
[zakopconych.
Nędra drewnianym stolkiem w serce, jak w głaz
[wali.
Godziny wloką się w czasie, jak wielkie, pokraczne
[wrony
na śniegu, zdeptanym brutalnie w zimowej, pu-
[szystej dali.

O pracy zamazą uparcie czyjeś splakane oczy,
czyjeś się dłonie żylaste zacisną w bolesnym
[oduchu,
a bunty niepolicone urosną w nadmierny ildczyn
i nie żałując już Boga, o niebo uderzą głuch.

MARJAN PIECHAŁ BURZA

Nie chcę już płakać nigdy i nigdzie
twarzą zwróconą do księżycy,
odtąd już gniewem w ludzkiej krzywdzie
o pomstę będę krzyczał!

Iskro, zaklęta w moim śpiewie,
padnij na powrót w sercach głuchych!
Siło, ukryta w ludzkim gniewie,
ogniem zemsty wybuchnij!

Idę, bom z światem się pokłócił,
idę, bom sobie już zaprzeczyl —
tobie, tętencie rewolucji,
tobie, burzo, naprzeciw!...

Nie chcę już czynić z łez pokuty,
ni w proch kościołów padać czołem,
bólem deptany, w krzywdę zakuty
gniewu ludzkiego wołam:

Niebo, podarte klami błasków,
uś w mnie — pioranochron!
Ziemio, zjeżona grzywą lasów,
pochoł!

JAN SZCZAWIEJ PROROK

Na troski sere matczynych, na c'ężkie lzy sieroce
Już dłużej patrzeć nie mógł ze swych niebiańskich
[okien
I gdy na ziemię spadły szelestne, białe noce,
Po skrzydłach ich zszedł cicho na łany pół szerokie.

I dziwił się niezmiernie, że przecie na tej ziemi
I brzozy i skowronki i pola tak szczęśliwe,
Więc jakże to, że ludzie krzykami szkarlatnemi
Błękitne orzą niebo, jak pług spokojną niwę.

I myślał z niepokojem, że winno być inaczej
Pod słońcem, co każdego ogrzewa jednakowo,
Że grzech jest głodne dzieci miast chleba karmić
[placzem,
Gdy inne mają wszystko na każde swoje słowo.

Więc trzeba raz już zmiażdżyć łeb szczęściem
[spitej tłuszczy,
U której złoto w szponach — najkrwawszą, dziką
[mocą
I dobre ziarna z plewy nikczemnych dusz
[wybuszczyć
Na posiew dni, co z światem zwycięstwem zalopocą.

Od jednej wsi do drugiej wędrował bezustannie
I głosił plomienieście miłością tchnące hasła,
Aż w noc, podobną wonią biblijnej, słodkiej
[mianie,
Kopuła nieba nagle, niespodziewanie zgasa.

Przyjmował ze spokojem, co moc czyniła wściekła,
Jaśn'ala twarz w bezruchu, jakby ulana z śpiżu
I tylko po niej para piekących kropel ściekla,
Gdy tłum, za który cierpiał, obłędnie krzyczał:
[„Krzyczą!”

POEZJA JUTRA PRÓBA WYTRZYMAŁOŚCI

„Żyjemy w przededniu przełomu“ — tak dzisiaj mówi się i pisze powszechnie. O ile mi jednak wiadomo, nikt się dotąd nie pokusił o danie jakiegokolwiek przemyślanej, choć naturalnie hipotetycznej, odpowiedzi: co jest powodem owego przełomu? Na czym on przypuszczalnie będzie polegać? Jaką będzie poezja jutra (wyjątek stanowią liczne artykuły na temat przyszłości teatru)?

Powód: ubóstwo treści, ba, niemal całkowity jej zanik. Stąd we współczesnej literaturze, niczem pseudoklasycznej, nieznoszą hipotrofia formy. Stąd sztuczne wypychanie — blaga; stąd ów „jazgot“, jak mówi Krzywicka, ale nie tylko „niewieści“. Wierszowane katalogi imion, w rymy ubrane heble, młoty, rzemiosła i jarzma, wachlarze i tramwajowe bilety, jakże podobne są do wierszowanych djarjuszów z XVII wieku (np. Pielgrzymowski, Twardowski), do różnych „Elefantyn“ i „Euftratyn“, do naruszczeniowskich ód, do koźminowskiego „grochu“, drobnych wierszy Kropińskiego, Osińskiego i in. Stracono smak, poczucie artystyczne. Każdy chce być hiperoryginalny, a jest po większej części czczy i nudny. Pisać jakkolwiek i oczekolwiek — stało się dziś zasadą. A przecież byłoby rzeczą nierozumną nie dostrzegać w dzisiejszej literaturze obok przeważającej ilości stron ujemnych, także dodatnich. Głównie mam tutaj na myśli znaczne powiększenie rekwietywności poetyckiej. Uważanie miasta za tło równie piękne w poezji, jak tło pól, lasów, mórz i strumieni, upogazowanie samolotu i innych wytworów myśli i rąk człowieka — należy uznać za duży krok naprzód; z tem wszakże zastrzeżeniem, żeby, jak się to dziś nader często dzieje, nie popadać w nową przesadę i krańcowość, nie redukowac dopiero co powiększonej rekwietywności, żeby co najważniejsza, nie tracić z oczu tego, kto to zrobił i komu ma to służyć: — człowieka. Bo cokolwiekbyśmy powiedzieli w naszej obronie, jest rzeczą pewną, że wciąż popełniamy te same błędy: przesłaniamy podmiot przedmiotami, materializujemy siebie i poezję, by potem w powodzi obiektów znowu szukać ludzkiego „ja“, by znowu tęsknić za amaterją. Wtedy zaś tęsknota, jako czynnik uczuciowy, okazuje się silniejszą od intelektu, szuka ujęcia, łamie kanony i przesady, burzy przesłanki logiczne, sprawia, że ponownie przychodzi do głosu irracjonalne władze ducha. Lecz zanim przyjdą, na niebie poezji ukazują się komety, z których ludzie wróżą jakoweś zmiany, wypadki, padają sprzeczne sądy, daje się zauważyć niepokój, wicherowatość. Następuje eksplozja — przełom. Rozpoczyna się nowa epoka w dziejach literatury; nazwijmy ją: **humanistyczno-romantyczną** (szczęśliwszej nazwy nie znajduję).

Mające więc nastąpić, według mnie, odmaterializowanie dzisiejszej poezji, wzbogacenie jej w treść, której obecnie wyrekla się na rzecz intelektualizowanej formy, będzie wyjściem dla nowej epoki w literaturze polskiej XX w.

Pierwszym widomym jej znakiem będzie wejście do literatury człowieka, wraz z tem co stanowi jego niezniszczalną istotę. Subdominantą zainteresowań będzie świat wewnętrzny, dominantą — ludzkie „ja“, toniką — Bóg. A choć zapomniny używać etykiet, choć na człowieka spojrzmy jak na bezimiennego globe-trottera, choć w jego wędrownie — zgodnie z duchem czasu — każemy mu w tęsknocie pokonania czasu i przestrzeni szukać wartości ponad ludzkich, bo wiecznych; to jednak oddamy mu własną krew, krew, co do pochodzenia której wątpliwości być nie może, gdyż dojdziemy ją z najgłębszych warstw swego narodu, z macierzystej gleby. Każde słowo stanie się gościńcem złożonym przez człowieka człowiekowi, zachętą dla polawiaczy wiecznych prawd. Obok zaś tego poezja urzeczywistniać będzie komunizm serc, budzić zrozumienie dla ogólnoludzkiego trudu, budzić chęć do ekonomicznego polepszenia warunków bytu przez wkorzenianie w umyśle i sercu wszystkich wielkiej idei pacyfizmu!

Pomijając inne znamiona, których wyliczyć ze względów na ich mnogość niepodobna, pozostaje trzecia, najważniejsza, gdyż zamykająca kadencję, funkcja: tonika. Jest nią, jak zaznaczyłem, Bóg. I oto niemal widzę jak spada na ludzkość nowa „plaga“ czy „manna“, którąbym nazwał — **głodem Boga!**

Nasuwa się z kolei pytanie: w jakiej formie objawi się owa treść?

W pierwszym rzędzie odpowiedziałbym, że w zaniku poezji na korzyść t. zw. „prozy“. Stosowanie coraz swobodniejszych asonansów, upodobanie w stykicznej formie wiersza i całkowicie dowolnym rysunku (5, 6, 15, 17 zgł.), świadczy wyraźnie z jednej strony o przechodzeniu do „mowy niewiązanej“, z drugiej: o szukaniu nowo-starej drogi, która, jak sądzę, może się zakończyć powrotem do białego, hymnicznej wiersza Rigwed. Świadome poczucie kulturalnej łączności dziesięciu z dorobkiem poprzednich choćby bardzo odległych i współczesnych pokoleń, dobywanie z nich rzetelnych **formalnych** wartości i posługiwanie się owymi wartościami bez względu na datę ich narodzin, czyli bez względu na to, czy pozostają w zgodzie, czy też sprzeczności z formą poprzelomowej literatury, — wysunie może zagadnienie **eklektyzmu w formie** i uchroni nową poezję od przedkij, nieuniknionej zresztą, głównie dzięki nieudolnym naśladowcom — epigonom, krańcowości. Boć jest rzeczą pewną, że każdy z nas to trochę klasycysta i romantyk, pozytywista i modernista, impresjonista i futurysta i wszelki inny — „ista“ z przewagą wszakże jakiegoś „-izmu“ nad

resztą. Na nową formę, na jej konieczną **zwięzłość, migawkowość** niemal nie pozostanie bez wpływu kino. Ono to uczyni z formy niesłychanie elastyczny i rozciągliwy materiał, wyrobi zdolność do śmiałych skojarzeń i zamykania w klamrach dwóch zdań kilometrowych przestrzeni czasu i miejsca. W związku z tem wyłoni się potrzeba osiągnięcia maximum wyrazu przy minimum artystycznych środków, czyli potrzeba **kondensacji**. Jedynie środki silne, niezawodne: teżyżna, moc. Przy takiej zaś technice pisarskiej, z konieczności przemysłowej, snycerskiej, cellinistycznej, jakże bliskiej klasykom, parnasistom, a nawet i niektórym z dzisiejszych poetów — technika **psychologicznego skrótu** będzie nieunikniona. Stąd cios wymierzony „wielostronnicowemu“, zwłaszcza cyklicznym utworom! Miał mikroskopijnych psychoanaliz — syntetyczny skróty! Jednocześnie jednak z ową „nowelistyczną“ jakby formą spadnie na czytelnika nie lada trud; czytelnik bowiem będzie musiał zająć stanowisko, jeśli nie współtwórcę, to odpowiadające; będzie musiał dobudowywać sobie rzucony przez twórcę most. Żeby wszakże dobudowywanie szło po linii zamierzeń twórcy, autor będzie musiał możliwie najdoskonalej znać ludzkie „ja“, jego tęsknoty i potrzeby, co osiągnie głównie dzięki introspektywności i obserwacyjnej wiedzy: jak zwykle, tak i w tym wypadku intuicja odegra niepoślednią rolę. A jeszcze? — autor będzie musiał dokonać selekcji słów, znając ich gatunkowy ciężar (potrzebna do tego gruntowna znajomość ojczystego języka, t. zn. jego historyczno-porównawczej etymologii) oraz ich „fizjologiczną“ własność. Tak! I słowa muszą podlegać prawom: grawitacji i kontrastu. Cięższe szybciej będą spadać i głębiej zaorywać się w duszy czytelnika, lżejsze wolniej i pozostawać na powierzchni. Jedne na intelekt, drugie na uczucie działać. Jedne na organ wzroku, drugie — na słuch, trzecie — na dotyk i t. d. Stąd konieczność wyposażenia słowa: w barwę, dźwięk, kształt i t. p., a łącznie z tem ukazanie twórcy możliwościom nowych perspektyw. Że do urzeczywistnienia wszystkich powyższych postulatów trzeba posiadać wielki talent i duże wykształcenie — to jasne! Dlatego, mówiąc o twórcy, zawsze mam na myśli miedra. Efekt i blaga przedzie czy później zginą. Pozostanie, jak zwykle, zwycięska prawda!

W końcu jeszcze słów kilka o tem: jak wyobrażam sobie twórcę humanistyczno-romantycznej epoki pod względem społecznym? Czy nie nawiedzi go jakieś nowe mal do sięle. Czy indywidualizm nie uczyni zeń mizantropa, aspołecznego nadczłowieka? Ale gdzież! Dzisiejszy kult ciała będzie dostateczną przeszkodą dla wszelkiego „cierpiętnictwa“, zaś niwelacyjny prąd demokracji wystarczającym strychulcem do zdjęcia koturny i opuszczenia piedestału. Prosty, bezimienny bohater szarego dnia, człowiek zapracowany, zaganiany, nie mający czasu na „artystyczne“ siesty, knajpy i paplaniny, zato „jak wulkan dymiący niekiedy przez słowa“ — oto mniej więcej jego portret. Poza tem ktoś, kto uporeczywie dąży do uzgodnienia swego życia z własną twórczością, ktoś, dla którego życie i twórczość to jedno, to coś, co nie może stać z sobą w sprzeczności, to ów „niebieski poemat dla Boga“. Oddawać siebie innym w czynach i słowach w możliwie najdoskonalszy sposób, czyli tworzyć czynem i słowem — to jego droga.

Jan Miernowski.

TEODOR DÄUBLER W WARSZAWIE

Teodor Däubler, znakomity poeta niemiecki, członek Akademii Niemieckiej i prezes tamtejszego Penclubu, przybył przed kilku dniami do Warszawy na zaproszenie Polskiego Klubu Literackiego.

Däubler urodził się w roku 1876 w Tryjeście. Podobnie, jak Nietzsche, z którym ma pewne rysy wspólne, szczyty się Däubler przemieszcza krwi polskiej. Babka jego była z domu baronową von Gaffron i pochodziła z rodziny Gawronskich. Prababka nazywała się Kosicka.

Najważniejszym dziełem Däublera, któremu poświęcił całą młodość, jest obszerny poemat p. t. „Das Nordlicht“, „Zorza północna“. Jest to epopeja mistyczna z rodzaju, do którego należały „Raj utracony“ Milтона, lub „Król — Duch“ Słowackiego. Tem tego poematu jest odwieczny mit o Ziemi i Słońcu, a jego ideą podstawową — historia ducha ludzkiego w jego najszczytniejszych wlotach ku światłu, Prawdy i Dobra. Ten pęd ducha ludzkiego ku światłu pojęty jest przez poetę, jako przejaw wewnętrznych sił Ziemi, wybuchających miłośnie ku Słońcu. Osobliwa ta myśl przeprowadzona jest w sposób nie mniej osobliwy, jakkolwiek mający analogie w poezji polskiej. Wielcy przewodnicy ludzkości, prowadzący ją ku ideałowi, ukazani tu są jako wcielenia kolejnego jednego niezmienne słonecznego Ducha w pochodzie ku spełnieniu swych celów kosmicznych. Jest to, jak widzimy, myśl, blisko pokrewna tej, którą rozwija Słowacki w „Królu Duchu“.

Istnieją między obu poematami i inne jeszcze podobieństwa. Zbliża Däublera do Słowackiego połączenie filozoficzności z liryzmem, zbliża go doń muzyczność języka poetyckiego. Ta właśnie muzyczność sprawia, że utwory Däublera są wy-

„Znaczna to szkoda, że przejście do socjalizmu nie może być dokonane przedzie. Ale musimy sobie uprzytomnić, że gdy Mojżesz wyzwolił Izraelitów z niewoli egipskiej, uważał ich za tak niedojrzałych do wolności, że 40 lat oprowadzać ich musiał po pustyni, aż ci, co w egipskiej niewoli żyli, prawie wszyscy wymarli... Prawda jest, że i my obecnie wędrujemy po pustyni niedzi starą komercjalizmem a nowym socjalizmem...“

Bernard Shaw.

(„Drogowskaz dla inteligentnej kobiety“)

Pragnę w tym autotreningu, który sobie p. Slonimski ostatnio tak zmyślał na lamach Wiadomości Literac. zaaranżować, nastrożyć mu siebie jako może słabszego, lecz bądź co bądź nie fikcyjnego przeciwnika. Do dwugłosu obu pp. Slonimskich dołączam skwapliwie mój głos jako trzeci, aby p. Slonimski pierwotny nie potrzebował już dwoić się i troić, lecz by prezentował nam zawsze siebie samego, właściwego Slonimskiego.

Atoli na podstawie tonu aprobaty i ciepłych akcentów wolno nam przyjąć, że właśnie pod przydomkiem „senior“ mieści się w dużej mierze ów tak pilnie poszukiwany przezemnie Slonimski właściwy. Tenże p. Slonimski w swym feljetonie o „Złotym Paszporcie“ dostrzegł wprawdzie najtragiczniejszy punkt w tym filmie — dostrzegł symboliczne znaczenie owego lokaja — lecz biorąc go za punkt wyjścia do następnego feljetonu wyładował tyle niby daleko idących wniosków, że w pewnym miejscu musiałem krzyknąć — stop! — dalej jest manowce.

Dobra chłopka z „Złotego Paszportu“ padła faktycznie ofiarą systemu i sam p. Slonimski przyznaje, że film ten wola dojmującym głosem prawdy już nie o „opiekę nad kobietami“, nie o przytułek dla Magdalenek, lecz o zmianę ustroju. A przecież nieszczęściu tej dobrej chłopki zawinił bezpośrednio tylko ów lokaj — przez niezwykle zbieg dramatycznych okoliczności on jednym obronem słowem zatrzymać ją mógł nad samym brzegiem, od niego zależało ocalić ją, a jednak z pobudek najniższej zemsty strącił ją w przepaść. Jej brat klasowy, nędza z jej nędzy, proletarijusz. I ten oto drobny epizod nabrzmiewa tragiczną treścią, rozrasta się do rozmiarów ciemnej plamy na słońcu przyszłości — to on, nowy czerwony mieszczech z przemalowaną moralnością, „obywatel“ rewolucji. I tu dostrzegam p. Slonimski jeszcze dalszą prawdę: potrzeba przemiany dusz, etycznego renesansu, potrzeba nowego wychowania i wielu jeszcze nowych pokoleń, aby ze zbiorowego serca ludzkości zmyć czarny kopeć dzisiejszej moralności. „Musi przyjść fala wielkiego odrodzenia metod wychowawczych“ — wola p. Slonimski. Pięknie! Ale — a nuż nie przyjdzie? Którędy, jakim cudem ma przyjść ta fala? Gdzie są te znaki widome, w dzisiejszych warunkach bodaj zwiastujące tę gorącą falę? Gdzie dostrzegam p. Slonimski realne możliwości do zakładania szkół, któreby w dobrej wierze wychowywały akurat zaprzecywców dzisiejszego społeczeństwa? Co właściwie daje p. Slonimskiemu podstawy do takich twierdzeń z głupia frant, że w ustroju kapitalistycznym możnaby legalnie i w szerokim zakresie wychowywać przeciw szowinizmowi, przeciw kłamstwu klasowym, przeciw żądzy posiadania, przeciw wszelkim wojnom i przeciw obłudzie „pokojuwego“ parabellizmu? Niech p. Slonimski pobożnych wprawdzie życzeń nie zamienia ze stanem rzeczywistym, bo wtedy wnioski muszą być fałszywe. Rewolucja jest właśnie niczem innym jak walką o możliwości lepszego wychowywania, jest walką o duszę przyszłych pokoleń, o nowy styl życia na wyższej duchowej płaszczyźnie. Jeśli p. Slonimski chce wnuków Poznańskich wychować w takim duchu, aby jego oczyma patrzyły na swoich rodziców i odpowiednio do tego postępowały — to niech prędko założy kilka szkół podług swego planu, niech spróbuje wprowadzić tam obowiązkowo „Historję świata“ Wellsa, niech wystara się o legalizację i niech nada tym szkołom moc odebrania dzieci na wychowanie, aby ich nie zaraziła moralność rodziców. Jeśli bowiem p. Slonimski uważa, że już dzisiaj za panowania kapitalizmu może nastąpić odrodzenie metod wychowawczych, więc byłby to pierwszy **minimalny postulat**. I to trzeba się śpieszyć. Bo już za kilka lat będą te dzieci uważały oddzielną możliwością zatrudniania robotników i odkładania renty za swoje wielkie

jatkowo trudne do przetłumaczenia, i że poeta nie jest dostatecznie znany poza granicami swej ojczyzny.

Oprócz poematu „Zorza Północna“ wydał Däubler kilkanaście tomów liryki, oraz prozy m. in. słynny zbiór studiów o sztuce najnowszej p. t. „Der neue Standpunkt“, „Nowy punkt widzenia“. Dzieło to odegrało bardzo ważną rolę w rozwoju nowoczesnej sztuki niemieckiej.

GŁOS LITERACKI nabywać można
— na dworcach kolejowych w całej Polsce

— w kioskach ulicznych w Warszawie, Lwowie, Krakowie i Łodzi

— w większych księgarniach w Warszawie, Łodzi, Lwowie, Krakowie, Zakopanem, Lublinie, Piotrkowie, Strzynie i in. miejsc.

— zagranicą — w Paryżu: Księgarnia Gebethnera i Wolffa, 123, bl. St. Germain, w Londynie: Księgarnia W. R. Kossuth, 15 Barn Rise Wembley Park, Middx.

życiowe powodzenie — i znowu będą dwa pokolenia stracone. Szkoda zresztą, że p. Slonimski nie działał na długo przed wojną. Może byłoby się wtedy udało, że droga odpowiedniego wychowania byłaby kiedyś potomkowie trzech zaborców uznali zbrodnię swych przodków i bez rozlewu krwi, bez powstań byłoby Polakom zwrócili ich ojczyznę! Taki pogląd byłby się nawet spotkał z wielkim aplauzem pewnej warstwy ówczesnego społeczeństwa — p. Slonimski byłby tam bardzo mile widziany... Ale jeśli już stało się inaczej, jeśli lekcji wychowania podjęła się uzurpatorsko wielka światowa wojna i jeśli z jej krwawej kurzawy, z pod gruzów trzech zaborczych tronów wyłoniła się odrodzona Ojczyzna — kto dziś wobec tej wielkiej rzeczywistości będzie śmiało obliczać ile to ofiar kosztowało i wobec tych ofiar kwestjonować dziejową wartość państwowego i narodowego odrodzenia?!

Śmie to jednak uczynić p. Slonimski wobec niemięniej wielkiej rzeczywistości rosyjskiej rewolucji. Jeśli conajmniej połowa ofiar rewolucji padła, dobrowolnie broniąc jej zdobyczy jako swojej, — niechże ich p. Slonimski nie żałuje, bo wzgardziłby jego żalem. I niechby antyrewolucyjny imperjalizm nie był spiskował przeciwko ludzkiej przyszłości, a byłoby z pewnością wogóle 90% ofiar mniej. I „patrzac na wszystko, co jest dzisiaj w Rosji lepsze“ — pozostałoby może p. Slonimskiego zaledwo 10% żalu... Tembardziej, że jeden ułamek tej bardzo względnej lepszości ma dla ludzkości większe znaczenie, niż tysiące piramid. Oceniajmy wszelkie rewolucje i rewolucje rosyjską podług jej pozytywnych wyników, bo tylko one są miarą postępu ludzkości, one tylko dalszy postęp umożliwiają, — podług ofiar niech je potomność słusznie oceni. Matka, która po szczęśliwie choć ciężko przeżytym porodzie widzi dziecko zdrowe, na zawsze zapomina o bólach porodu. Kto pojmuje rewolucję jako przyczynowy żywioł, która wybucha gwałtownie jak weszbrany wrzód, — ten wie zarazem, że żywioły są nieuchronne, straszne i niewinne i że udane i trwałe w skutkach rewolucje są wogóle niezaskarżalne. Któż oskarża tajfuny, huragany, trzęsienia ziemi i straszliwe morskie burze, które co roku pochłaniają dziesiątki tysięcy żywotów ludzkich i krociowe mienia? Ja także wiem, co warte być może każde życie ludzkie z osobna, ale cóż i najszlachetniejszy humanitaryzm na to poradzi, że taką właśnie jest dyalektyka życia i dyalektyka dziejów? Tembardziej, że rewolucjom zawsze są winne te właśnie klasy, na których one się skupiają. Jeśli dzisiejsze sądy przysięgłych są na tyle humanitarne, że uniewinniają zabójstwa, popełniane w afekcie, to i zabójstwa podczas rewolucji są popełniane w gromadnym afekcie. Zabójstwo, zwłaszcza dla krewnych pozostaje rzeczą straszną, a jednak sąd przysięgłych uniewinnia... Gdy się wyważy świat z zawiasów, musi to kogoś boleć.

Lecz rewolucji, t. zn. istotnych i trwałych przemian na lepsze pragnie i wzywa również p. Slonimski, lecz chce, aby się to odbyło nie bezplanowo, dorywczo i barbarzyńsko, nie sochą — jak powiada — a pługiem parowym: zgrabnie, głęboko i urodzajnie. Owszem! Jeśli więc starałem się uzasadnić wagę, znaczenie i nieuchronność każdej rewolucji i każdej niemal wojny, jeśli starałem się wykazać, że prawdziwe odrodzenie metod wychowawczych może nastąpić jedynie w porowolucyjnych czasach, po wyprowadzeniu ludzkości z farańskiej niewoli kapitalizmu, to jednak nie znaczy to bym sobie nie wyobrażał rewolucji innej, jak tylko krwawą i barbarzyńską. Przynajmniej wyobrazić możemy sobie wszystko i takie wyobrażenia właśnie służą mi za temat do powieści politycznej, którą piszę i może kiedyś skończyć. — Lecz zanim zwyrodniali Faraonowie kapitału plagami wojen niszczycielskich i rewolucji uznają się za pobitych, zanim ich zbrodnie Czerwone Morze zaleje, minie jeszcze wiele strasznych lat, — którym ani ja, ani p. Slonimski swemi feljetonami nie zapobiegnie, bo nas obu razem pochłonią. I wtedy nastąpią nie 40, a 400 lat wędrowki do Ziemi Obiecanej, kiedy już ludzkość naprawdę odradza się będzie i wiedzą, duchem, sercem dojrzewać do złotej wolności, aby nareszcie na nas dzisiejszych móc spojrzeć litościwymi oczyma ludzi ze „Snu“ Wellsa...

Emil Schürer.

W wyniku plebiscytu czytelników Głosu Literackiego, uznane zostały: jako NAJLEPSZA KSIĄŻKA POLSKA w r. 1928 FORTUNA KASJERA ŚWIEWANKIEWICZA. ANDRZEJA STRUGA — jako NAJGORSZA KSIĄŻKA w r. 1928 WÓDZ. GUSTAWA OLECHOWSKIEGO.

Szczegółowe wyniki plebiscytu przyniesie najbliższy numer Głosu Literackiego.

OD REDAKCJI.

Najbliższy numer Głosu Liter., odmiennie od dotychczasowych, przyniesie wyłącznie oryginalny materiał artystyczny — wiersze, poematy, nowele — z Władysława Broniewskiego poematem „Komuna paryska“ i Jana Wiktora prozą „Chrystus ulicy“ — na czele.

• CZAS • WPLAĆ • PRENUMERATE • ZA KWARTAŁ • DRUGI •
• TYLKO • 3 ZŁ. • KONTA P.K.O. • 16380 •

ANKIETA W SPRAWIE ŻYDOWSKIEJ

W jednym z ostatnich numerów czasopisma praskiego „Die Wahrheit” znajdujemy szereg ciekawych opinii, wyrażanych przez pisarzy współczesnych, jako odpowiedź na ankietę, rozpisana przez Redakcję „Die Wahrheit” w kwestii dotyczącej chrześcijańskiej i europeizacji Żydów zarówno jak i wpływu kultury żydowskiej na świat chrześcijański.

W ankiecie tej wysunięto trzy pytania:

1) „Czy w zagadnieniu nad „zażydzeniem” świata chrześcijańskiego możemy w dobie obecnej rozpatrywać również chrześcijańską jak i europeizację Żydów?”

2) „Który z tych procesów wydaje się Panu bardziej intensywnym, a który o znaczeniu poważniejszym?”

3) „Czy przejawy te tłumaczy Pan jako funkcje żywotne i zdrowe, czy też jako widoczny, dalszy symptom „umierającego Zachodu”?”

Pytania te znajdują nieraz trafne i słuszne odpowiedzi. Oto kilka z nich.

Lujó Brentano.

„O „zażydzeniu” świata chrześcijańskiego mówię się jedynie w pismach szowinistycznych; stąd europeizacja Żydów jest problemem, którego rozwiązanie uzależnia w stopniu wysokim przyszłość „Tonącego Zachodu”.

Juljusz Kaden-Bandrowski.

„Nie znajduję pozytywnego twierdzenia w tej sprawie, gdyż w dziedzinie tej nie pracuję.

Samo zagadnienie (uważam) dotyczy bardziej przeszłości niż teraźniejszości. Świat oddalił się od starych religii i w nowych formach religijnych szuka nowej energii.

„Upadek Zachodu”? Nic podobnego. Zdążamy wciąż naprzód, zdążamy w świat etyki i w świat prawdy, tam, gdzie religia staje się dla wszystkich zbędną.”

Prof. Dr. Albert Einstein.

„Jest rzeczą wysoce niewłaściwą mówić o chrześcijańskiej Żydów zarówno jak i o „zażydzeniu Chrześcijan.

Sam problem ująłbym w jedno zapytanie: dlaczego o nas, kilku Żydach, stwarza Europa i Ameryka aż tyle charakterów? Ich obowiązkiem, uważam, jest odpowiedzieć na to sumieniem!

„Upadek Zachodu” traktuję jedynie jako chorobę modną, która przez zapomnienie sama się uzdrowi.”

Stefan Grabiński.

„Każdy nieuprzedzony obserwator przyznać musi, że rasa żydowska wniosła w świat chrześcijański cały szereg elementów twórczych — których niedocenienie nam nie wolno. Myślę tu o wysokim poziomie intelektu, o ścisłym, choć nieraz przychłodnym i trzeźwym stosunku do sztuki i wiedzy, jak również o wyjątkowo silnym stopniu odczucia potrzeby ich propagandy.

Europa wie, co zawdzięcza nazwiskom tej miary, co: Spinoza, Bergson, Weininger, Einstein, Zola, Heine, Mendelssohn i tylu, tylu innym.

Proces chrześcijańskiej Żydów wydaje mi się paralelistycznym do wzrostu wpływu żydowskiego na Chrześcijan; oba procesy rozrastają się w równym tempie.”

Heinrich Mann.

„Wpływ europejskiego życia na Żydów, odkąd wzięli oni swój równouprawniony w niem udział, widoczny jest najbardziej w ich materializacji.”

Tadeusz Peiper.

„Widzę tylko Żydów, — „zażydzenia” nie widzę. Jest tak dlatego, że mówić chcemy o „zaży-

Leon Kruczkowski. *Młoty nad światem*. Skład gl. Dom książki polskiej. 1928.

Kruczkowski jest bezsprzecznie jednym z najbardziej zamyślonych i osamotnionych poetów z pośród młodych. Już to sprawia, że poezję jego smakuje się jak dalekie zapachy, trujące i niepokojące. Dawność ta objawia się w treści i formie, a dalekie echa staffowskiej poezji giną w refleksyjności, która źródła swe znajduje w regresji. W tym wypadku wspomnienie i osamotnienie wiąże się tak ściśle i tak często się objawiają, że szczerze autora zdaje się być zdobywcą istotną i rzetelną (w odróżnieniu np. od Liberty). Ale Kruczkowski przy całej swej szczerości nie posiada nic z burzyciela, poezja jego to poezja konstatająca, umie rzucić pytania, ale nie znajduje odpowiedzi, umie zdala, jakby w opłotkach świata, „żyć i grzeszyć” z ludźmi, i od ludzi miłości oczekiwać. I otóż o to oczekiwanie mi chodzi. Autor

„zmysłami ubogimi jak światło świat pochłania” („Życiorys”)

i jak człowiek zwykły, noszący „cień dni” na barkach, lęka się, bo gdy:

„spłynę po nas wielka rzeka rzeczy, w żyły świata nasza krew wycieczy” („Prolog”)

W „Prologu” Kruczkowski, poeta samotny, najdobitniej podkreśla obawę, jaką wywołują czasy, które nadchodzą, „i nas przerosną”. I dlatego może, w sąsiedztwie tych wierszy („Życiorys”, „Poeci”) zwrot:

Ja — tysiacy Baryka, najmłodszy z Cezarych nie zawiera w sobie uproszczeń, ani też rozwiązań, jakich w tem miejscu można się było spodziewać, bo oto poeta zapytuje:

daleś krew — sercu mojemu — a cóż ja dla serca uczynię!

I dlatego nazywam Kruczkowskiego poetą osamotnionym. O tem świadczą cały tonik pozabawiony zresztą przypadkowości i rozbieżności, w sensie ideologicznym i formalnym. Bo wiersze te przy całej swej młodzieńczej surowości są wyrazem naturalnego zakończenia zamkniętego już

dzianiu” Żydów. Najbardziej zażydzeni są Żydzi przez swoich wrogów.

Chrześcijańszkizacja europeizacji Żydów wydaje mi się podobnie niemożliwą, jak zmontowanie mowy hebrajskiej z łacińską w jedną.”

Bernard Shaw.

„Nie mogę na pytania te odpowiedzieć, gdyż wszystko, co wiem, nie rozwiązuje dostatecznie problemu jak dalece Żydzi absorbują Pogan. Pytanie o charakterze czysto statystycznym nie może znaleźć odpowiedzi bez statystyki. Należałoby się przedtem upewnić, czy i rasa żydowska również rozmnażała się normalnie, i wtedy dopiero wykresić można absorpcję tej wymiar sprawiedliwy. Lecz który statystyk z tych lotnych cyfr kontrolnych będzie mógł wykazać gruntowny i sprawiedliwy ten wymiar?”

Jakób Wassermann.

„Nie jestem w stanie — niestety — odpowiedzieć na te pytania. Zbyt doniosłe ujmują one sprawy świata i poglądów, które (sądzę) jedynie dzieło rzeczowe oświećlić jest w możliwości bez narażenia na niepoważną gadaninę.

W swojej książce, wydanej przed 20 laty („Der Literat oder Mythos und Persönlichkeit”) poruszyłem podobny temat.”

Przeł. J. Podhalicz.

Kraków ma to dziwne szczęście, że stale zapoczątkowuje rozmaite rzeczy literatury i sztuki — potem chwytą je — najczęściej — stolica — i zapomina się o tem, że rzeczy te zrodziły się w Krakowie. Nie wspominam już o czasach Młodej Polski — wystarczy uprzytomnić czasy powojenne. Wystarczy rzucić okiem na to bujne życie literackie, które wtedy rozpięło się w starych murach Krakowa. Gdzie powstały wszystkie nowe kierunki? Kto przejął je pierwszy z otwartych rąk zagranicy i pierwszy zapłodnił nasieniem polskim? Kraków! Kto pierwszy zapoczątkował skupiska młodych poetów? Kraków! Kto w odróżnionej Polsce pierwszy miał najlepszy teatr? Kraków! Kto pierwszy zaczął wydawać pisma ideowo-literackie? Kraków!

A dzisiaj — co z tego zostało?

Nie... Kochana Warszawa, nasz Paris du Nord, wchłoniła wszystko — nie dając nawet cienia satysfakcji zapadłej prowincji małopolskiej...

Ostatni poryw przeżył Kraków parę lat temu. Przepraszam, że ładnie muszę o nim napisać i bardzo go pochwalać, choć sam brałem w nim żywy udział. Ale to, że ja brałem w nim udział, nie wystarczy jeszcze, by go ganić. Było to w roku 1926.

W styczniu tego roku z dawnego „Heljonu” założonego przez Dadlera i Gałuszkę, wyrósł „Litart” założony przez Jerzego Brauna, Janusza Stępowskiego i W. Z. (tak siebie nazywam przez skromność). Jakież nas rozpałały marzenia! Jaka wola! Jakie idee! A pierwsza i najważniejsza: dać wyraz Krakowi! Przedstawić go Polsce! Przypomnieć! Bez pieniędzy zakładamy czasopismo literackie. „Gazeta Literacka” wychodzi przez 18 miesięcy! Panowie i panie! To jest półtora roku! To jest bardzo dużo, to jest ogromnie dużo jak na dwutygodnik literacki wydawany przez kilku młodych ludzi utrzymujących się z... literatury!

okresu, który wielu poetów postawił wobec rzeczywistości, jak przed znakiem zapytania:

...z tamtych lat,
które zdeptały pierwszą młodość
mojego pokolenia („Hymn o krwi”),

zostało zagadnienie:

O, krwi!

zali ty zawsze musisz być nawozem pod zasiewy stokrotnie bujne? („Hymn o krwi”).

i zagadnienie to pragnie rozważyć:

zdala od krzyków miłości i boju

Ale przemyskając obok życia chyłkiem, pozostawiając zdala od „krzyków miłości i boju” wyjaśnienia nie znajduje, i dlatego zapewnia, że obecnie:

młodości żegnając nieba
smucę się szorstką mową („Młodości żegnając nieba”)

dlatego też wróci w tamte „lata spełnione” i zawsze je odnajdzie:

jak źródła zgubione pod ziemią

Przy tem wycofywaniu się, które łatwiej nie jest, bo jedynie w wierszu ostoł się jak „Chrystus w łodzi”, napotka dno grozy, bo oto:

Wyduża się nad światem

młotami zbrojne ramie.

Stalowy leb zwycięski

bezwładność gnuśną łamie. („Młoty nad światem”).

I dlatego, gdy mówię o zakończeniu pewnego zamkniętego już okresu, obawa przed zdarzeniami, które zdeptały „pierwszą młodość” znów się zjawia, bo mimo, że:

Stalowy leb zwycięski

bezwładność gnuśną łamie

poeta krzyczy:

Młot rzeźbi oblicze świata

albo w grozie:

Wam i mnie biada—biada człowiekowi.

Czyżby się naprawdę należało lękać młotów, co rzeźbi oblicze świata

bezwładność gnuśną łamia!

Kruczkowski umie stawiać pytania, niechaj szuka odpowiedzi!

Stanisław Wygodzki.

STANISŁAW WYGODZKI

GAZETA

Szarp! Rwij się! Wskocz!
Mokrą zabarw się plamą.
Krzyk purpurowy — pijcie „Wyskok”
rwie się ze szpalty spiętej ramą.
Bij godzinami! Piorunem spadaj
piramido napisów w trzasku!
W zębie rąbanych szpałt swych zbadać,
kto zbrodnie z miłością spiął zatrząsk.
Salto-mortale słów i wieści
z szpałt drukowanych petitem „wiesz, że...”
Z trzeciej strony odcinek powieści
skoczył w ulicę w grozie wieszczeń.
Już się wymknęły w jęku i bólu
szpalty czerwone, czarne szpalty.
Zielony płomień alkoholu
opadł skrzydłem na sine asfalty.
Nagłówek łapy wał w okna
w pieść się złożyły szpalty zamęt.
Niebo depeszą czerwoną i mokrą
upadło w szyby najwyższych pięter.
Zaraz je zdepczą w ulicznym kurzu
w górę nad głowy będą je ciskał.
Ostatnia wieść wynurzą się burzą,
zbrzydzone czarną juchą konfiskat!

Bez żadnych stypendiów, bez zasiłków (bo jakżeż można dostać jakiś zasiłek na rzecz szlachetną, nie stojąc tuż u źródła?).

Półtora roku pracy, gdy nas kilku — że dodam do poprzednich nazwisk Helenę Moskwanę, Adama Polewę, Marijana Sewiego, Jerzego Polaczka — gdy nas kilku robiło wszystko — od redakcyjnych czynności, przez administrację pisma aż do — kolportażu po Krakowie i ekspedycji pakietów gazety na dworzec! Taki młody gość jeden z drugim napisał artykuł wstępny, napisał wiersz, napisał recenzję teatralną, napisał nowelę — wielki literat, wielki redaktor dwutygodnika literackiego! — aby potem wziąć pod pachę i do teczek sto, dwieście, trzysta egzemplarzy pisma i stos różnobarwnych wywieszek i iść sobie jak gazeciarski po swoim „okręgu” Krakowa, zasilając wszystkie kioski i trafiki! A po takiej turze — mógł być i deszcz, mógł być i śnieg — wieczorem — nieraz całą noc — ekspedycja, nudne wiązanie po kilka egzemplarzy do każdego miasta czy wioski — ogromne paki dla „Ruchu” warszawskiego — a potem, jak tragaż — hej — ho! na pęty pakę z 1500 egzemplarzy dla „Ruchu” i nadół, z trzeciego piętra, do dorożki, na dworzec... Nie raz, gdy byłem pierwszy przy dorożce z moim ładunkiem, patrzyłem na ten sznurerek kolegów jak się wynurzał z bramy, każdy z swoją paką — i myślałem sobie: jakie to piękne! Tak pracować nie każdy by potrafił!

A pozatem — te masy imprez w Krakowie, w Warszawie (przyszło może... 100 osób, może 110...), we Lwowie, w Katowicach i t. d. To zachęcało naszą ospałą publiczność krakowską! Aż doprowadziliśmy do tego, że mieliśmy zawsze salę nabitą i że nas Kraków bardzo polubił...

No, trudno. Przyszły rozdźwięk po przeszło roku współpracy. Byliśmy tacy młodzi... Zrobili

Witold Hulewicz. *Lament królewski*. Józef Aleksander Gałuszka. *Głosy ziemi*. Jarosław Iwaszkiewicz. *Księga dnia i księga nocy*. Antoni Bogusławski. *Dwór* — wszystko nakładem F. Hoëssicka. Warszawa, 1929.

Wszyscy ci autorzy piszą razem „w kupie”, przeważnie o przyrodzie, z małym wyjątkiem Hulewicza, który pisze o dziecku mocno zresztą pod wpływem Rainera Maria Rilke’go. W tem dusznym i obrzydliwym już cieście przyrody człowiek trafia się jak istny rodzynek. I również jak one nieciekawo. Kto nie umie na przyrodę spojrzeć tak odmiennie i powiedzieć o niej tak świeżo i ciekawie jak Tuwim albo Iłakowiczówna, niech lepiej o niej nie mówi. Gdyż zawsze będzie ich nędznym epigonem, jak nieprzymierzając Mieczysław Braun. Kto nie umie w poezji nazwać właściwym imieniem człowieka, niech lepiej nie wzywa jego imienia nadaremno. Wybacz się to jeszcze Gałuszce, który w jednym z kilku dobrych wierszy tomu p. t. „Dziadowie — królowie”, powie:

„Idziemy do Ciebie przez wszystkich oklamani —

Ty nam za krzywdy i za krew zapłacisz!

(w Twoje my imię mordowali braci):

„Chleba naszego daj nam dzisiaj, Panie!”

Zlituj się, zlituj nad nami —

nad dziurawymi buciorami —

nad cuchnącymi onucami —

nad drewnianymi gnatami,

kulasami, kikutami:

kulasami, kikutami:

w betlejemskiej stajence,

oddasz nam nogi, ręce

Jezus malusiński — —“

Ale już nikt nie wybaczy tego Jarosławowi

Iwaszkiewiczowi, który mówi:

„Lubię Stasia. Wolę Adolfa.

Czy życie jest smem? To mnie nie nie obchodzi.

Widać dom Gebethnera i Wolffa.”

A cóż mnie to, do diabła starego, może obchodzić? Albo i to:

„że dom, co naprzeciwno stoi i jest wysoki —
wysoki, czerwony, jak w wierszu Tuwima obcho-
dzimy dookoła, trzymamy się za ręce. Zbudziłem
się. A ciebie niema.”

Jednak niema tego złego, co by na dobre nie wyszło. Czytając wiersze Iwaszkiewicza, przycho-
dzi nam do głowy moc refleksyj i skojarzeń, które
wprawiają człowieka w doskonały humor jak-
by conajmniej siedział w „Qui Pro Quo”. Oto nie-
które z nich:

„Lubię Grzegorza. Wolę Romana.
Oto Katedra świętego Jana.”

Albo:

Chcę Elinównę... Pragnę Sowińskiego...
Mogę... w szpitalu Jana Bożego...

Albo:

„Kwadryga” miła jak myszka Tuwima,
pomimo to, ja ją dymam!”

Natomiast przy „Dworze” Antoniego Bogu-
sławskiego przychodzi mi do głowy inna reflek-
sja, mianowicie, że jeśli chłop jak np. Jan Ka-
srowicz wejdzie na salony poezji, to wygląda tam
jak conajmniej urodzony dżentelman lub rodowi-
ty lord, zaś jeśli na salony poezji wejdzie szla-
chetnie urodzony arystokrata w rodzaju Antoni-
ego Bogusławskiego, to sterczy tam jak najordy-
narniejszy cham.

Oto farnal poezji polskiej!

Marjan Piechal.

BLASKI I NĘDZE KRAKOWA

Paryż, w marcu.

Trochę to dziwne z Paryża pisać o Krakowie. Prędzej można by z Krakowa pisać o Paryżu. Ale — tak mnie nagle „wzięło”. Tak mi się zebrało na sentyment...

Biednyż ten Kraków! Tyle się napracował, tyle się zaszczytnie przysłużył — i zapomniano o nim... Mówmy otwarcie: zapomniano o kręte-
sem! Taki szary margines... Taki partykularz daleko od szumnej i dumnej stolicy — ośm godzin pociągami, a aeroplanem nie można wprost — trzeba przez Katowice...

Biedny Kraków! Leży przedemną właśnie wydawnictwo z cyklu „Les Villes d'Art célèbre” — „Cracovie”. Przeglądam tę książkę i patrząc na piękne klisze myślę sobie:

— Jakże to śliczne miasto! Ileby nie jeden kraj dał za to, by mieć taki Kraków u siebie... Ale w tych pięknych ramach — jakże nudne toczy się życie!

Tak, kochany Krakowie! Stąd, z Paryża, zdala od ciebie, jak wyrodną syn piszę o Tobie: nuda i beczność... i to w dodatku piszę w piśmie szumnej i dumnej stolicy, która cię tak per ogonam syreniam traktuje...

Ale nie gniewaj się na mnie, Krakowie — mówię do ciebie jak się mówi do ładnych dziewczyn — nie gniewaj się, że cię zdradzam, bo ja cię bardzo kocham!

Zresztą — czy to jest zdrada? Powiedzieć prawdę — to nie jest występki.

To nawet — potrzeba!

się niejedno źle, niejedno głupio. No, trudno. Potem przyszło także coś jak „zniechęcenie... i inne rzeczy. Rozeszliśmy się „Gazeta Literacka” sko-
nała.

Od tego czasu — w Krakowie pusto i głucho. Słabe życie literackie podtrzymują niedobitki „Litartu”. Czasem... coś... gdzieś... Pozatem — bzdury i głupota. Jakies „Ezotery”, jakaś grafomanja wielmożna...

Smutno...

Gdy zeszłego roku wróciłem z Paryża na wakacje do Krakowa, jakże smutny obraz mi się przedstawił! Jak pustom i głuchem wydało mi się to kochane miasto! I jakim — ogłupiałem... Suchoty idej, agonizowanie...

Ale wiem, że są tam ludzie! Wiem, że jest dużo sił, wiem, że się już znów coś burzy i kielkuje. Kraków zamiera, z racji nowego rozkładu sił kulturalnych na wielką Rzeczpospolitą, ale umrzeć nie chce! I nie umrze! Tylko — zwróćcie nań oczy! Zainteresujcie się nim!

Dopomóżcie mu życzliwym wzrokiem. To wystarczy!

Kraków dźwignie się z obecnej nędzy — bo Kraków musi pozostać — jak był zawsze — stolicą czystej sztuki! Niezaprawionej przez męty interesu! Nie splugawionej przez prostytucję literacką!

Tylko — przypominajcie sobie o nim.

Uważacie, państwo: Kraków. Kraków — tak się nazywa...

Tak, proszę pani: Kraków.

Istotnie, Kraków, proszę pana.

Ten artykuł niechże będzie pierwszym postojem podróży dla Kolumbów beczelnie zachwalanych, którzy wyprawiają się w puszcze nieznane prowincji, ażeby odkryć — Kraków.

Witold Zechenter.

TEATR

„Wilki” Romain Rollanda — w teatrze Ateneum.

W tragiczne kolo sprzeczności wpleciona jest twórczość Romain Rollanda. Najwcześniejsze jego dzieła stoją na gruncie narodowym — dramaty historyczne z epoki Wielkiej Rewolucji Francuskiej („Danton”, „Le 14 juillet”, „Morituri”) i szkice historyczne. Pojawia się dramat „Nastanie czasu...”

Utwór ten, grany niedawno w wiedeńskim Volkstheater, stanowi na szlaku ideowym R. Rollanda punkt zwrotny. Silnym akordem zabrzmiała tendencja pacyfistyczna.

Wreszcie koncepcja ogólnoludzkiego porozumienia, wysunięta w potężnym „Janie Krzysztofie” najwyższym jest zrebem w twórczej konstrukcji ideologii pokoju. Wolno jeszcze było komendantowi Quesnel („Wilki”) oczyścić się frazesem „wszystko dla dobra ojczyzny”, zagrożonej śmiertelną blokadą wrogów. Późniejsza w — pewnym sensie kontrastująca z poprzednią — wytyczna twórczości Rollanda każe mu przedewszystkiem myśleć o walce w imię człowieczeństwa. „Jutro będzie niedziela”, a niedziela spełni człowiek. W sąsiedztwie oczywistej wiary w socjalizację życia wyrasta i umacnia się bolesna świadomość wiecznego konfliktu jednostki z masą. Podtytuł wydanej po „Janie Krzysztofie” powieści „Clérambault” — „l'un contre tous” — wyraźnym jest wskaźnikiem wagi tego problemu dla Romain Rollanda. Quesnel z „Wilków” poświęca sumienie i uczciwość w imię wielkiego kłamstwa: „narodowego idealizmu”. „Jan Krzysztof” i „Clérambault” walczą z tym fałszywie pojętym, zaślepionym patriotyzmem, który zrozumieć nie chce, że prócz narodu istnieje człowiek i świat. „Wilki” i „Jan Krzysztof” czy „Clérambault” — to 2 bieguny.

Zasadnicze jednak zagadnienie „Wilków” zabiega tę sztukę z późniejszymi utworami o tendencji ogólnoludzkiej. Mam na myśli problem stosunku jednostki do ogółu.

Komendant Teulieur — to w genealogii Rollanda pradziad bodaj „d'un contre tous”. Teulieur walczy o pełną realizację ideowego tryptyka Rewolucji Francuskiej: wolności, równości i braterstwa. Braterstwo ustępuje wilczej nienawiści. W obliczu bliskiej śmierci lub zwycięstwa i w entuzjasmie dla moralnego, ale świętego wodza Verrat'a — zatracza się poczucie sprawiedliwości. Osobisty wróg Verrat'a — nawrócony na republikanina d'Oyron — idzie pod noz gilotyny. Ale wyrok, skazujący niedawnego arystokratę na podstawie sfałszowanego listu, nie przemija bez protestu: odzywa się „arystokrata ducha” — Teulieur. Jego wystąpienie pokrywa się z późniejszym wyznaniem Rollanda. „Każdy z pośród nas powinien uczciwie się — o ile naprawdę jest człowiekiem, samotności; by móc samotnie istnieć i samotnie my-

NA MARGINESIE

— Dn. 17.III zmarł w wieku 66 lat Antoni Lange, jeden z najwybitniejszych poetów Młodej Polski, autor szeregu utworów poetyckich i cennych tłumaczeń z literatury wschodniej.

— Dn. 20 marca odbył się w Pol. klubie Artyst. przy wypełnionej szalenie sali wieczór poetycki Tadeusza Peipera, na którym autor odczytał szereg swych utworów ze wszystkich trzech tomów wierszy: „A”, „Żywe linje” i „Raz”.

— Ministerstwo Wyzn. Rel. i Ośw. Publ. powołało do życia komisję opiniodawczą do spraw literatury, która ma m. in. rozstrzygnąć ostatecznie sprawę Akademii.

śleć wśród wszystkich, a jeżeli trzeba — nawet przeciw wszystkim. Uczciwie myśleć znaczy: za wszystkich myśleć, nawet jeśli wbrew wszystkim się myśli. Samym sobie pozostając wierni, dochowujemy wiary społeczeństwa i ludzkości (Clérambault).

W ramach tej wypowiedzi zawiera się wystąpienie komendanta Teulieur. Z tego stanowiska rozważając jego czyn, uznamy Teulieur'a za szlachetną i — co ważniejsze — odważną w swej szlachetności jednostkę.

Biorąc jednak pod uwagę okoliczności, które siłą doraźnych wymogów chwili zdusiły protest, uznamy komendanta Teulieur za jednostkę niekonsekwentną i omal romantycznie papierową. Gdy krwawe drogi Rewolucji Francuskiej zalegały tysiące tysięcy niewinnych, gdy pod noz gilotyny szły tysiące niesprawiedliwie osądzonych, a cele więzienne zapelniały setki kobiet i dzieci, niesłusznie podejmowanych — Teulieur odwołuje z pola bitwy członków konwentu miejscowego, by ocalić mało dla sprawy znaczącą, a nawet szkodliwą (spóźniony atak na wroga) jednostkę — d'Oyron'a. Żąda uwieszenia Verrat'a. Samo bodaj oskarżenie Verrat'a wnieślioby wśród żołnierzy rewolte. Jeden Verrat znaczy dla Rewolucji tyle, co 100 czy tysiąc obywateli. Chwila trzeźwej konfrontacji z następstwami swych poczynań i świadomość rażącej niekonsekwencji — (tysiące wyroków wymagały rewizji ro i... tysiąca protestów; znaczenie śmierci jednostki wobec tysięcy trupów) — a Teulieur powinien zdać sobie sprawę, że Rewolucja żąda śmierci d'Oyron'a, a przeoczenia zbrodni i matactw Verrat'a. Są chwile, w których śmierć jednostki jest niesprawiedliwa, ale nieubłaganą koniecznością. Choć z postacią Teulieur'a wiąże nas nic bezwzględnej sympatii, przegraną jego uznamy za konieczną i słuszną.

W realizacji sztuki włożono maksimum wysiłku i starań. Bez zarzutu grali pp. Szpakiewicz i Kochanowicz.

Pewne zastrzeżenia nasuwa gestykulacja p. Zastrzeżyńskiego. Z zespołu — naogół zgranego — powinien zniknąć p. Miciński. Strach na wróble. Józef Szpecht.

— Staraniem Perskiego Związku Esperantystów w Teheranie i Lwowskiego Oddziału „Universala Esperanto Asoco Genève” urządzono we Lwowie 16 marca 1929 w Sali Koła Literacko-Artystycznego wieczór muzyki i poezji wschodniej.

— Na zamówienie magistratu m. stoł. Warszawy, artysta malarz Pronaszko i architekt Syrkus kończą obecnie wykonanie modelu, t. zw. „Teatr przyszłości”, który stanąłby ewentualnie w Warszawie w przyszłej dzielnicy reprezentacyjnej na polu mokotowskim. Projekt ten przewiduje wybudowanie wielkiego półkulistego gmachu, obracalnego na osi, obliczonego na kilka tysięcy widzów, którego scena byłaby przystosowana do wszelkiego rodzaju widowisk.

Dnia 26-go marca zmarł na zapalenie płuc wybitny poeta czechosłowacki, Ottokar Brzezina, który w zeszłym roku obchodził swe 60-lecie. Zmarły pozostawił po sobie szereg utworów poetyckich, które postawiły go w rzędzie najwybitniejszych liryków czeskich. Ottokar Brzezina był gorącym polonofilem.

TURNIEJ POETYCKI

Stała się rzecz niezwykła i niecodzienna. We Lwowie, tem mieście, w którym „po wojnie” upada gwałtownie nie tylko handel i... sport, ale także zanika z kretesem życie umysłowe i kulturalne, odbył się przy pustej w 70 proc. sali... turniej poetycki. A urządzić go odważyło się (i to jest bardzo chwalebne), kasyno i kolo lit-art. Niestety impreza wypadła więcej, niż miernie. Wprawdzie prezes Kasyna, lekarz, p. Chojnacki zaznaczył, że na turniej nadeszło aż 270 „twórców” aż 1000 utworów (!), mimo to — jak wyraził się obecny na sali stary literat p. Ro., utworzyły wybrane w liczbie aż — 21 sztuk, były w lwiej części „operacją bez narkozy” dla biednych słuchaczy, a — jak oświadczył sam p. Chojn. — część ich (utworów, a nie słuchaczy), była nawet w nieporozumieniu z ortografią polską. Zresztą chociażby nawet utwory były genialne, to audytorjum tym razem było mniej genialne, a nawet inscenizowało „ryki” — jak na wiecu lokatorskim — przy końcu imprezy. Ciekawem będzie niewątpliwie nadmienić, że komisja kwalifikacyjna, która uśmierciła aż 979 wierszydeł, składała się z lekarza p. Chojnackiego, sekretarza Targów Wschodnich Ostapa Ortwinia, profesora Kucharskiego, oraz pp. Moraczewskiego, Jedlicza i Brończyka. Z wybranych utworów połowa okazała się „przebieżnie poprawna”, a tylko drobna część technicznie, konstruktywnie i treściowo odpowiadała wymogom współczesnym, przyczem i ta wiele zawdzięcza doskonałej recytacji p. Pobóg-Kielanowskiego. Najbardziej na tym wieczorze podobała się wszystkim... publiczność, która oklaskiwała zaciekle utwory najsłabsze (byłe łzawe, kliwne i patetyczne), a wesoło reagowała na bardziej „skomplikowane”. Ta właśnie publiczność głosowała. Tytułu „laureata turnieju poetyckiego” i 300 zł. nie przyznano nikomu, a drugą nagrodę otrzymał istotnie utalentowany p. Włodzimierz Lewik. Trzecia nagroda przypadła p. Bogdanowi Fejrowskiemu. Na podział nieprzyznanej I-szej nagrody Kasyno nie zgodziło się. Efekt końcowy dość nikły. Nieuniknione było wrażenie nieco dorywczego sfa-brykowania imprezy. Stefan Rayski.

PO 15 MIESIĄCACH

„...Głos Literacki uważam za najlepszą obecnie pismo literackie u nas...”

(Wacław Siefoszewski w wywiadzie „O idei społecznej w poezji” Nr. 9).

„...Głos Literacki powitałam z radością, jak każdy objaw zdrowej i pięknej myśli polskiej...”

(Aurelia Wyleżyńska w liście do redakcji).

„...Tak mi żal, że nie mam czasu na podjęcie polemiki z bardzo mi bliskimi i miłymi: Schürerem i Wygodzkim. Zdolni, uczciwi, szczerzy. Tak miło ich czytać...”

(Paweł Hulka Laskowski w liście do redakcji).

„...Głos Literacki swoją bojową postawą i śmiałością w wypowiedziach sądów w sprawach naszej literatury i sztuki, uzyskał sobie ostatnio duży rozgłos i uznanie...”

(Polska Zbrojna z dn. 9.IX 1928 r.)

„...Głos Literacki to pismo, jedno z niewielu dzisiaj, które potrafi trzymać rękę na pulsie najżywotniejszych zagadnień naszego życia literackiego i artystycznego...”

(Gazeta Kołomyjska z dn. 29.IX 1928 r.)

„...Numer (22 — 24) Głosu Literackiego, brzemienisty w treść, służyć może za dowód, iż grono młodych poetów i krytyków, wykuwających nowe drogi w literaturze polskiej, nie tylko trwa wytrwale na zdobytem stanowisku, lecz przechodzi do coraz silniejszej ofensywy...”

(Polska Jutrzejka — Katowice — Nr. 1 z r. 1929).

„...Głos Literacki idzie konsekwentnie po linii jaką sobie wytknął i dziś jest niewątpliwie najpoważniejszą placówką młodej twórczości literackiej i myśli proletariackiej...”

(Dziennik Ludowy — Lwów — z dn. 20.III b. r.)

„...Można śmiało wyrazić życzenie, aby młodzież więcej zainteresowała się tem pismem, które odzwierciedla istotne, współczesne kierunki literatury...”

(Echo Szkolne, czasopismo młodzieży, Łomża, Nr. 8 z r. 1928).

„...Idzie z Głosu Literackiego jakiś młody, orzeźwiający powiew. Bije z artykułów rozmach i powaga. Ogromnie sympatycznie uderza brak wszędobylskiego snobizmu...”

(Czytelnik Dr. Wolf z Wiednia w liście do redakcji).

Z powodu braku miejsca nie zamieszczamy bibliografii „Nowych książek” oraz korespondencji. Oczekującym odpowiedzi od redakcji udzielone one będą w najbliższym numerze.

NA ŚWIĘTA! NA ŚWIĘTA!

POLECA WINA, KONIAKI, WÓDRI

—:—: HURTOWY SKŁAD SPIRYTUALI —:—:—

ZYGMUNT JAROCKI i S-KA

WARSZAWA, Senatorska 11

PLANAT et Co

Dom Co BELLARDI

COGNAC

et Cla TORINO

FABRYKA
LIKIERÓW
I WÓDEK

ŚWIATOWEJ
: SERWY:
WYROBY

ALFRED POTOCKI

W ŁAŃCUCIE

REPREZENTACJA NA WARSZAWĘ

ZYGMUNT JAROCKI i S-KA

ul. Senatorska 11, tel. 244-88 i 48-94

POLONEZ

REPREZENTACJA WIN
i MIODÓW ZAGRANICZNYCH



SKŁADY W WARSZAWIE

ul. Senatorska 6 ul. Miodowa 5

— tel. 325-46 — — tel. 170-44 —

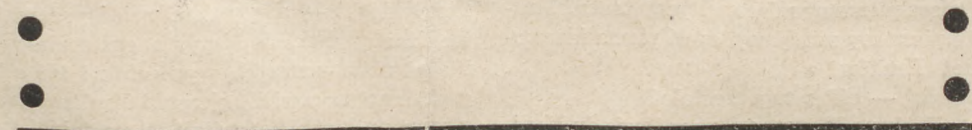
W Ł O S K A
S P Ó Ł K A
A K C Y J N A

POWSZECHNA
ASEKURACJA
W TRYJEŚCIE

ASSICURAZIONI

GENERALI TRIESTE

NAJDOGODNIEJSZE WARUNKI
UBEZPIECZENIA NA ŻYCIE



DYREKCJA NA POLSKĘ: WARSZAWA

CENTRALA — UL. KRÓLEWSKA 23

ODDZIAŁ SPECJALNY — UL. ŻŁOTA 7/9

ODDZIAŁ PRASKI — UL. ŻĄBKOWSKA 4

NA DOGODNYCH WARUNKACH

NAJMODNIEJSZA

KONFEKCJA DAMSKA

MICHALINA

PALTA: TRYKOTARZE

SUKNIE: SZLAFROKI

BLUZY: BIELIZNA

ELEKTORALNA № 7 TELEF. 189-78

FIRMA EGZYSTUJE od 1905 r.

JAN ZEGRZE

: SZWAJCARSKIE :
: ZEGARKI :
: BIŻUTERIA :
: SREBRO :
: I PLATERY :

NA DOGODNYCH WARUNKACH

WARSZAWA: N. ŚWIAT 30:

NA DOGODNYCH WARUNKACH

UBIORY i OBUWIE

męskie — damskie — dziecięce

H. KEJLIN

W A R S Z A W A

ELEKTORALNA Nr. 7

TELEFON 99-94

FIRMA EGZYSTUJE OD 1872

WARUNKI PRENUMERATY: Z przesyłką — w kraju miesięcznie 1 zł., kwartalnie 3 zł., zagranicą kwartalnie 6 zł.
OGŁOSZENIA: 1 mm. szerokości 1 szpalty (łam 4 szpaltowy) 40 gr. za tekstem, w tekście 50%, drożej.
REDAKTOR i WYDAWCA — JÓZEF PODHALICZ.

Adres redakcji: ul. Młynarska 43 II p
Adres administracji: ul. Sienna 20 m. 5
Tel. 204-96. Konto czek. P. K. O. 16380